

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

ANATOL STERN

N A G I  
CZŁOWIEK

W ŚRÓDMIEŚCIU.



Poemat.  
<http://rcin.org.pl>

ANATOL STERN

1 9 1 1

CZŁOWIEK

W ŚRÓDZIMDORŻCIE

POSTAL  
<http://rcin.org.pl>

Nie wydzierżawia się do domu

ANATOL STERN

# Nagi człowiek w śródmieściu.

POEMAT.



WARSZAWA 1919.

---

DRUK „WSZECHCZAS” MARSZAŁKOWSKA № 116.

<http://rcin.org.pl>



5253

Otęczonych niebios śniąc błękitnienie,  
Na „przyjdź“ anielskich czekacie pomocy.  
Ja najróżowszych ranków nie zmienię  
Na szczęśliwość białej wieczystej nocy.

Gwiazdziście ślepa noc niech ożyje —  
Jej płachty świetnie jaskrawej mi trzeba,  
I milion złotych niech przyszczów pokryje  
Twarz moją,—i wyszarzałą twarz nieba!

Mrok czarne dłonie położy na głowie,  
Rdza wiecznych błędzeń niech stopy me przeje.  
Białymi wargi noc szeptem mi powie  
Szczęście męskości: bezmyśl, beznadzieję.



1. /

Ulicą idąc czarną, czuję: płyty parzą  
Stopy moje przez twarde skórzane podeszwy, —  
I ktoś ciała szukając, mokrą ręką wrażą  
Szarpie mnie niezgrabnie, ubrania wszystkie drze  
szwy.

Oto błędę już nagi, smukłe swoje ciało  
Poddając spojrzeniom lepkim lamp naokół,  
Aż dopóki precudownie mi się nie zachciało  
Sposągowieć bronzowo, wdarłszy się na cokół

I spoglądać z wysoka na jarzące szyby  
Kawiarni co wypłuka raz po raz z się tłumy, —  
Fosforyzujący, potwór z czarnych mórz niby,  
Przeżuwa obojętnie, pełna martwej dumy,

Ludzi co w nocy żyją, aż im dzień nie przemgli  
Spojrzeń ich rozżarzonej cienkiej pajęczyny,  
W której drzemie, stalowej drżąc napięciem liny,  
Ich dusza z czarnych drogich, dusza z lśniących  
<http://rcin.org.pl> węgli.

Ciągłego hałasu gdy wytrzymać nie mogę,  
Rzucam szybko się w stronę. I schyliwszy głowę  
Z płytami nieprzyjazną, wiodę cichą rozmowę  
W uliczkach co wstydlive i wąskie: ubogie.

Aż wtym,—kiedy dochodzę do wielkiego placu,  
Co rżąc od swej tuszy, męcząco zamiera, —  
Widzę: oto z uśmiechem wrota mi otwiera,  
Wychodzi do mnie Isold szklanego pałacu.

2

Przy akompanjamentcie powolnych stąpań  
w ciszy płyt, po nocnym trotuarze, —  
Rozmowa kiężycowa, — sonata z tą z pań  
która nigdy z nikim nie była w parze.

— — — — —  
Liście stąpań padają z szelestem.

<http://rcin.org.pl>

3.

„Słyszysz?”  
JAR IWASZKIEWICZ.

Mądrze we mnie się patrząc, pieszcząc dłonie swe  
blade,  
Harmonijnym głosem szeptała Isold balladę:

— „Granat polanki usiały złote baranki,  
Lecz zganiają je blade pastuchy—poranki.

„Prowadzi dziwnie jasny błękit na manowce, —  
Błąkają się białe przez wiatry gnane owce.

„Nic darmo się nie daje zwodzić na rozstaje, —  
Miast owiec przyszły czarne brzemienne buhaje.

„Na czarnych bykach siądźmy ze śmiechem okra-  
kiem, —  
Znów zasiał barankami jak płomiennym makiem“.—

Że próżno się wciąż smucę chcąc łaskawie do-  
wieść,

Taką mi blada Pani mówiła przypowieść.  
I wzięwszy mnie za rękę: „Czekałam na Ciebie,—

Pójdź, wyrąbiemy lukę w brylantowym niebie,  
A kiedy otwór dłoń nasza w niebie wygrzebie  
Położymy się płackiem zadyszani, niemi,  
I jak przez dziurkę od złotego klucza,  
Gdy nas kołysać będzie chmura krucza  
Będziemy podglądać co się dzieje na ziemi“

Słucham ja dłubiąc w zębach wykałaczką —  
Potym, na wierzchowca stojąc tyle,  
Kłusem mknąc dzwoniącym  
Chwytam gwiazdy siatką na motyle, —  
I śród kołyszącej jazdy  
Nawlekam łzawe gwiazdy  
Na jedwabny długi sznur,  
Który przyrzekam sobie dać  
Villevi, gdy z kraju mew i chmur,  
Przyjdzie do mnie spać.



## KRZYK W NOCY.

Zęby me błyskawicą przerzńcie czerwoną  
Ognistym krzykiem rozświećcie ciemności,—  
I dziewczkę spoconą  
Co jak cień się błąka po drewnianym moście,  
Co białe ukazuje łono  
Do gacha przytulona,—błyskawicą trwoźcie!  
Pędźcie zęby me, psy me, nad Wisłę,  
Gdzie wbiwszy oko w falę mętłą, ruchliwą —  
Rękoma swe brzuchy potworne obwisłe  
Podtrzymują,—z porwaną na nich spódniczką, —  
Ukaźcie się zapłodnionym przez księżyc  
Melancholiczkom!

Wgryźcie się kły moje w ciała te drżące  
W gromadę kobiet szkaradną bladą, —  
Gdy krew wytryśnie,  
Jeśli dziś nie —  
To jutro błysnie biel nogi pełnej  
Biel krągłej nogi za balustradą.

Gromadą białą drapieżną chutliwą  
Na bulwary zęby me gdzie łączą się pary!  
Życia zegary kipiącą tam biją godziną —  
Niemocny staruch z łysiną  
Za malowaną drażniącą spieszy dziewczyną  
A za nim giną alfonsa jej bary —  
Hej moje zęby, ostre noże, tu dla was żniwo!

A żywo. Przez gród popędźcie już pusty;  
Do małżeńskich się wedrzyjcie sypialni,  
Wystraszcicie tuczne i błogo tak śniące,  
Z pod ciepłych pierzyn niech porwą się w bieli  
Panie dobrotliwe i drżące,  
Skowycząc błagalnie,  
Za wiszącą nad łóżkiem się chowając gobelin.

Zatopcie się blade w rój ciał rozpustny,  
W twarze opasłe, w wyblakłe te wargi, —  
Ślepe kły me, was nie wzruszy gwar ustny,  
Ni płacz skomlenia, bluźnierstwa ni skargi!

Dzień, — dzień oto blisko. Przecież Dzień blisko,—  
Dławcież wszystko, wszystkich: winnych, niewinnych,  
I splot ciał nędznych wilgotnych niezwinnych  
Rzućcie na stertę, w życia gnojowisko!

Dzień blisko. Smutny, z bezzębnymi usty,  
Wejdę, puknąwszy, do mojej dziewczyny, —  
Chłód poranny w płaszcz odzieje mnie siny,  
A ją śmiech porwie, śmiech długi a pusty.

Do mej kochanki z utlenionym włosom  
Z patosem do mej wyseplenię kochanki:  
„Noce innym zostawiam, ty mi daj swe ranki!“  
Tak niewyraźnym rzeknę do niej głosem.

Parsknie rozśmieszona. Na ustach z piołunem,  
Runę ciężko w gwiazdę wpatrzony poranną,  
Potoczę się gładko jakgdybym mknął sanna, —  
Szary dzień padnie na mnie chmur całunem.



MOJEJ MATCE.

Gdy ręka melancholji mnie wymiata z domu  
I nad głową mi lamp zaszlochają księżycy, —  
Omijając kamienice, chyłkiem, pokryjomu,  
Na najbardziej odludne wybiegam ulice.

I patrząc się zdaleka jak w wielkiej boleści  
Śmiertelnie się ze sobą sprzęgli ludzie, rzeczy,  
Chcąc poronić cud Słowa który w nich się mieści, —  
Jak niemoc krzyku wargi ich nieme kałeczy,

Jak dławią się i wiją, męcząc się szkaradnie, —  
Błady, nad brzegiem rzeki siadam, której niema  
I nad nieszczęściem tego co sobą nie władnie  
Płaczę, głowę rękoma objąwszy obiema.

A gdy zataczając się, jak pijak co się trzyma  
Każdej latarni, spływam znów z gwaru potokiem, —  
To widzę, że patrzy na mnie memi oczyma,  
Że każdy węgieł domu spogląda mym wzrokiem.

Wstanieś pewnej nocy, o pewnej godzinie,  
Popchniesz drzwi, co zaskrzypią, ręką oniemiałą,—  
I kojącą łaską ciepła noc na cię spłynie,  
Spowinie twą głowę mrok pieszczotą wspaniałą.

Spotkasz tysiąc ludzi o nieznaney twarzy  
Z których każdy ci wyzna swą ukrytą mękę,  
Wszystko czegoś żądał, nagle ci się zdarzy  
I Bóg ci poda z za chmur przyjacielsko rękę.

I gdy ręce twe obejmą ciało ci sprzedane,  
Na łóżku w lupanarze oddać się dziewczyna, —  
Zamglony wzrok tępo uderzy o ścianę  
I z ust na podbródek spłynie lepka ślina, —

Gdy oślepy Bóg krzyknie w tobie strasznym gło-  
sem!

(Ktoś niecierpliwą ręką do drzwi zakołata, —)  
Nagle,—miast ulicznicy z rozwichrzonym włosem,  
Ujrzysz Ją.

Wybiegłem na czarne płyty areny  
Z szklanego domku co złote ma belki —

O w mroku płynące jarkie syreny  
Okrutne me, zimne pocieszycielki!!

Jak ozjaskrawione czelnie kokoty z demi-monde'u  
Na których pienia się falban ich—fal seledyny,—  
Tak dygocące febryczną żywą siłą prądu  
Nerwowo mrużą się słońca fioletowe z liny.

Kołyszące się na nitce, niby baleriny,  
Choć już zwiędłe lecz mistycznie wciąż cudne  
z wyglądu—

Chylą się łukowe lampy nad ulic głębiny  
Zagładając w ich kanały z zawrotnego ładu.

Z pogardliwą zazdrością na gazowe latarnie  
Rzucają wzrokiem z otchłannej swej, czarnej  
wyżyny,—

Ł jaką kokoty na smutne, na blade dziewczyny  
Patrzą,—kiedy te spiesznie mijają kawiarnię.

Fioletowe to djamenty! Miasta je Golkonda  
Chowa w grzywie widzialnej nie dla wszystkich  
ludzi,—  
Ledwo zmierzch swój ton da pierwszy, ledwo je  
obudzi,—  
Promienieją z siebie blaskiem, krzykiem co po-  
żąda.

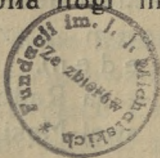
Mętnie mleczną chuć wkrąg sieją, ciecz co z nich  
wytryska,  
I okrążają się bladą nocnych ciem obręczką, —  
Kołyszają się niebezpieczne ziejące gorączką  
Kokoty lamp łukowych—cudne sztuczne ogniska.

O życie miast magnetyczne i wciąż wibrujące!  
Wyprostowane tragicznie, fabryczne kominy  
Czekające z rezygnacją ostatniej godziny  
Gdy potwór przyjdzie bezmyślny: sturamiennie  
słońce.



Noc z całym żarem swego starczego cielska,—olbrzymiego i wilgotnego,—przyłgnęła do mej piersi. I z cierpliwą, żarliwością uczyła mnie kunsztownych chwytów rozpusty, które podpatrzyła na białych płytach cmentarnych.

i Lecz ledwo rozdarte. niebo spłonęło rumieńcem,—wymknęła się chyłkiem, płacząca z bólu z wściekłości. A u stóp mych uknęła cudnie różowa jasnorozpłomieniona Zorza Poranna i zatopiła nogi me w grzywie włosów purpurowych.









<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F

5253